

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Dr. Witold Lewicki: Program agraryjny</i>	641
<i>M. Wierzbński: Egotyzm jako religia</i>	650
<i>Kronika naukowa</i>	669

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wilh. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.



→ Wiedeń, dnia 12. października 1895. ←

Program agrarny.

Myszy i osty, kaniańka i pędraki długo stanowiły u nas wyłączny przedmiot agrarnego ustawodawstwa krajowego i wypełniały kartki Dziennika ustaw krajowych. Zdawało się naszym domorosłym agraryuszom, że poza myszy i chwasty zakres ustawodawstwa agrarnego nie sięga.

A to tylko zakres ich własnej wiedzy poza te ramy nie sięgał.

Konstytucya przyznała Sejmowi galicyjskiemu prawo wolnego stanowienia w sprawach rolniczych, co mu się podoba. Mógł być dawno przeprowadzić reformę organizacyi rolnictwa. Mogliśmy dziś mieć najlepszą ustawę komasacyjną, ustawę o majoratach chłopskich, nowożytną ustawę lasową, polną, tępienia szkodników, mogliśmy stworzyć wielką sieć składów zbożowych z elewatorami na głównych stacyach węzłowych kolei żelaznych, mogliśmy mieć handel zbożem zorganizowany — dlaczego tego nie mamy? dlaczego daliśmy się innym wyprzedzić? dlaczego?

Bo nie było u nas wielkiej wiedzy europejskiej, bo nie było ścisłych informacyi o ustawodawstwie rolniczem zagranicą, bo nie było zainteresowania się temi sprawami w kołach samych rolników.

Było to ironią Sejmu galicyjskiego, że sprawami rolnictwa w kraju rolniczym najmniej się zajmował. Było to i dla rol-

ników ironią, że inicjatywa w sprawie ustawodawstwa agrarnego wychodziła nie od rolników. Dość przypomnąć, że ostatnia najdonioślejsza na tem polu reforma, wprowadzona przez ustawę o podniesieniu chowu bydła, początek swój wzięła z wniosku posła Rutowskiego. Odyssea jaką ten wniosek przechodził zanim się stał ustawą, jest pouczającą ilustracją braku zrozumienia w sferze rolników nawet interesów własnej skóry. Sprawy rolnicze w Wydziale krajowym doczekały się fachowego kierownictwa dopiero wtedy, kiedy je przydzielono do referatu członka Wydziału krajowego p. Romanowicza. I można z dumą powiedzieć, że dla interesów rolniczych ten jeden nierolnik więcej zdziałał, aniżeli wszyscy rolnicy razem wzięci, którzy przez trzydzieści lat blisko w Wydziale krajowym zasiadali.

Sejm kraju nawskróś rolniczego powinien był stworzyć chlubne ustawodawstwo rolnicze i być w organizacyi rolnictwa wzorem dla innych prowincyj, w których przeważają interesy przemysłu lub handlu. Sejm galicyjski prześcignięty został w tym kierunku przez ustawodawstwa pruskie, szwajcarskie i krajowe ustawodawstwa czeskie i morawskie.

W chwili, kiedy świat europejski przygotowuje się do wielkiej reformy agrarnej, kiedy prof. Zola w Paryżu kwestyi tej poświęca wykłady w wyższej Szkole Ekonomii politycznej, kiedy w Anglii ruch na polu agrarnem się wzmaga, kiedy w Niemczech poseł Kanitz wymyśla najrozmaitsze sposoby ratowania rolnictwa, kiedy socjaliści od dwu lat zbierają materiały do poznania tej poplątanaj i niełatwej gmatwaniny konkurencyi zamorskiej i taryf kolejowych, polityki kredytowej i podatkowej, kiedy na zjeździe wrocławskim odbywa się namiętna walka o socjalistyczny program agrarny, między Schipp-lem, Kautskym z jednej, a Beblem i Quarkiem z drugiej strony, u nas padł pierwszy głos rolnika-poety, polityka i filozofa, nawołujący rolników do poprawy ich własnego losu.

* * *

W salonach pana Włodzimierza Kozłowskiego zebrało się kilkanaście osób. Byli to posłowie nowowybrani do Sejmu,

którzy dawniej należeli do klubu autonomicznego. Dyskusja była ożywiona, z natury rzeczy poufna. Jedno tylko przemówienie postanowiono ogłosić drukiem. Dzienniki lwowskie przyniosły z wieczorku tego mowę hr. Wojciecha Dzieduszyckiego in extenso.

Istotnie przemówienie to hr. Dzieduszyckiego zasługuje na uwagę. Jestto mowa programowa. Miewaliśmy dotychczas programy narodowe, wszystkim stronnictwom w Sejmie działającym wspólne i programy ekonomiczne, co do których zgody nie było. Dziś po raz pierwszy usłyszeliśmy z ust p. Dzieduszyckiego program agraryuszy. Hasło podźwignięcia rolnictwa jest pięknym hasłem, a program taki jest w dzisiejszym upadku gospodarstwa rolnego bardzo wskazany, jest on przedewszystkiem ratunkiem większej własności, która przechodzi przez ciężką kryzys rolniczą, powinien jednak nie ograniczać się do interesów jednej warstwy ludności, lecz objąć wszelkie kategorie ziemskich posiadzicieli, a przedewszystkiem zająć się chłopem.

Kto dziś wraca z Podola, opowiada najsmutniejsze rzeczy o doli chłopskiej. Z pewnością nie z rozkoszy on sprzedaje „grunt i chudobę“, zabiera dzieci i żonę i emigruje za morze. Ruch jest gwałtowny. Są okolice, w których lud emigruje setkami. Bronić mu tego nie wolno środkami przymusowymi, bo skoro chłop swemu obowiązkowi służby wojskowej zadość uczynił, to musi mu być wolno począć z sobą co chce. Więc idzie za morze, ginie po drodze, marnieje w Brazylii, ale idzie. Jeżeli tak potrwa jak jest dziś, to z tego będzie nowy kataklizm.

Był więc powód do roztoczenia programu agrarnego, ale równą miarką dla obydwu warstw rozmiarującego.

P. Dzieduszycki domaga się w pierwszym rządzie pomocy finansowej dla rolnictwa z funduszków publicznych. Sumy to mają być „wielkie“. Trudno, aby się sumy te znalazły w wydatkach przewidzianych budżetem krajowym. Również wykluczonem jest powiększenie podatków krajowych.

„Pozostaje zatem tylko droga, na którą Sejm wszedł, zakładając przed laty Bank krajowy — droga, której się trzyma

obecnie, kiedy się rozchodzi o budowę nowych kolei, to jest droga gwarancji kapitału, danej samodzielnej instytucji. A ta droga wydaje się tem bardziej wskazaną, że istotnie wtedy tylko prace, podjęte około podniesienia naszego rolnictwa, mogą dobre skutki rokować, o ile ich wykonanie będzie powierzonym instytucjom, których rozwój będzie zawisłym od skuteczności podjętej pracy. Zachodzi przytem ta analogia z gwarancją sum, udzieloną przez kraj kolejom, że winniśmy się domagać materyjalnej pomocy od państwa. Ekonomiczny stan naszego kraju, największego i najludniejszego w tej połowie monarchii, nie jest dla państwa rzeczą obojętną a cała Austria, jako państwo przeważnie rolnicze, powinna mieć bacznie na względzie potrzeby tak silnie teraz zagrożonego stanu rolniczego. Ankieta rolnicza, zwołana przez Radę państwa, nie powinna pozostać bez skutku, a sprawy rolnicze powinny zająć w rozprawach austriackiego parlamentu nierównie więcej czasu, jak to dotąd bywało, a istotne zajęcie się praktycznymi potrzebami ludności, może się nawet przyczynić do uspokojenia waśni politycznych. Wszelkie jednak obrady tak parlamentarne, jak i poza parlamentarne, pozostaną bezskutecznymi, jeśli nie doprowadzą do uchwalenia kredytów na rolnictwo, udzielonych sejmom, mogącym jedynie wiedzieć, jakie są w pojedynczych krajach najnaglejsze rolników potrzeby.“

P. Dzieduszycki użala się w dalszym ciągu swych uwag, że sprawy rolnicze są rozrzucone dotąd po rozmaitych departamentach Wydziału krajowego (p. Dzieduszycki się myli, sprawy rolnicze są scentralizowane w rękę szefa departamentu II., jedynie tylko sprawy szkoły rolniczej w Dublanach i w Czernichowie oddane są szefowi departamentu I., do którego również cały kierunek melioracji należy).

P. Dzieduszycki żąda, żeby sprawy rolnicze scentralizowane były w rękę referenta, znajdującego się zawodowo na rolnictwie, a rozporządzającego odpowiednim administracyjnym personelem. Ma to być tem niezbędniejszem, o ile Sejm spodziewać się winien we wszystkich najważniejszych pracach swoich inicjatywy, wychodzącej od Wydziału krajowego, będącego niejako parlamentarnym krajowym rządem i że tylko taka

inicjatywa może zapewnić sprężystą a systematyczną pracę, podjętą około spraw agrarnych. Podobnież winien powstać nowy, nowym kredytem wyposażony, oddział Banku krajowego, mający na celu udzielanie kredytów melioracyjnych i parcelacyjnych.

Drugą sprawą rolniczą, którą p. Dzieduszycki bardzo wyczerpująco przedstawił, jest sprawa melioracyj.

„Sprawa melioracyj gospodarskich stoi na porządku dziennym Sejmu naszego od początku prawie ery konstytucyjnej, równie dawno, jak sprawa reformy ustaw administracyjnych; od dłuższego już szeregu lat trafiają się dyskusye o parcelacji i komasacji. Pod względem melioracji zrobiono już coś, ale zrobiono jeszcze mało; Galicya pozostała krajem, w którym rzeki górskie największe wyrządzają szkody, niszcząc wylewami swojemi nietylko plony i osady ludzkie, ale nieraz także grunta; ilość moczarów nie osuszanych i nieustannie groźnych zasp piaskowych pozostała wielką, że nie wspomnę już o nieprzemakalnych gruntach, których urodzajność da się podwoić; nie pomyślano prawie jeszcze o systematycznej gospodarce lasowej. Obowiązująca ustawa leśna wydaje się zupełnie nie praktyczną, a należałoby stworzyć ustawę, mocą której kraj nabywałby na własność większe lub mniejsze przestrzenie i przeznaczał je pod dobrze utrzymany las, mając przytem na względzie tak ekonomiczne, jakoteż i klimatyczne potrzeby. — Jest to myśl, której tylko z całego serca przyklasnąć należy. Ale zapominać nie wolno, że to tak łatwo, jak się panu hrabiemu zdaje, nie pójdzie. Pan Dzieduszycki powiada, że „należałoby stworzyć ustawę, mocą której kraj nabywałby na własność większe lub mniejsze przestrzenie i przeznaczał je pod dobrze utrzymany las“. Jest to życzenie jakżeby z księgi genesis wzięte. Należałoby stworzyć las! W tym celu kraj ma nabywać grunta i przeznaczać je pod las. Jakim sposobem kraj ma te grunta nabywać? Mocą ustawy! Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las, ale „mocą ustawy“ jeszcze nigdy nie wyrósł. Na to trzeba pieniędzy, jeszcze raz pieniędzy, o których sam pan Dzieduszycki mówił, że ich niema. „Także melioracya mokrych, albo piaszczystych gruntów mogłaby być po części przepro-

wadzoną na gruntach w tym celu nabytych, a potem odprzedawanych, ale już nie przez kraj, tylko przez osobną instytucję, operującą publicznie zagwarantowanym kapitałem.“

Na parcelacyę zapatruje się mowca ze stanowiska melioracyi. „Parcelacya wtedy tylko istotny pożytek przynieść może, jeżeli instytucya przeprowadzająca parcelacyę będzie miała głównie na oku przejście ziemi w ręce takich właścicieli, którzyby potrafili tę ziemię uprawiać z lepszym skutkiem od właścicieli dotychczasowych. Parcelacya taka mogłaby się przyczynić do powstrzymania prądu emigracyjnego, naturalnego wprawdzie, ale będącego jednak marnowaniem sił narodowych, przeznaczonych, jak się zdaje, na powolną za Oceanem zatrata.“

Byłoby to rzeczą wielce pożyteczną, gdyby nastąpiło wewnątrz kraju przeniesienie częściowe ludności osiadłej w okolicach przeludnionych do okolic, w których brak mieszkańców bywa powodem niedostatecznej uprawy roli. Instytucya jednak, któraby się zajmowała melioracyą, komasacyą i parcelacyą, powinna bacznie tego przestrzegać, aby większa własność ziemska nie została zniszczoną wskutek gorączkowej, a nieopatrnej parcelacyi, zamienionej w jakieś popularne, a jednolite hasło. Powszechnie są znane argumenta, przemawiające za utrzymaniem wielkich gospodarstw ziemskich w interesie rolnictwa; do tych argumentów ekonomicznej natury, przybawają u nas względy społeczne i polityczne, sprawiające, że niemożemy dopuścić, aby choć jeden dwór znikł z oblicza ziemi wskutek dokonanej parcelacyi. I owszem winniśmy się starać, aby tych dworów było w przyszłości więcej.“

Ostatnie uwagi swe poświęca p. Dzieduszycki potrzebie organizacyi handlu.

„Rzeczą by było jak najpilniejszą, aby jakaś wielka instytucya, pozostająca pod nadzorem kraju, a w razie potrzeby poparta przez kraj, ujęła w swoje ręce handel naszymi rolniczymi produktami, zakładając agentury w głównych miejscach odbytu, a mianowicie we Wiedniu, w Buda-Peszcie, we Wrocławiu, w Berlinie i w Szwajcaryi. Koleje zniosły prawie odległość dzielącą nas od wielkich miast, a my produkujemy

dotąd w takich warunkach, jak gdybyśmy jakąś daleką, a niedostępną część świata zamieszkiwali.“

Wreszcie postawił p. Dzieduszycki programowo reformę kredytu włościańskiego. Jest to myśl bardzo szczęśliwa, w której p. Dzieduszycki zamierza rozwiązać tę kwestyą. P. Dzieduszycki pogodził się z działalnością kas zaliczkowych, na które długi czas stronnictwo konserwatywne krzywym patrzyło okiem i dziś sam do swego programu agrarnego zaliczył uposażenie tych instytucyj zaliczkami z funduszu krajowego. „Mimo wszystkich wysiłków, które w tej mierze poczyniono, pozostaje nasz lud dotąd pastwą lichwiarzy. W chwilach, w których musi płacić podatek, albo w których go jaka inna przyciśnie potrzeba, musi uczynić jedno z dwojga, albo sprzedać swoje produkta za bezcen, albo zaciągnąć lichwiarską pożyczkę. Kredyt hipoteczny udzielany włościanom okazał się najczęściej zgubnym, a dotąd istniejące powiatowe i gminne kasy zaliczkowe nie są w stanie podolać swojemu zadaniu. Kraj jest powołany znaczną zagwarantować sumę, którą by kasy powiatowe, pozostające pod nadzorem rad powiatowych, mogły wypożyczać między wiejskich gospodarzy, zasługujących na kredyt. Tembyśmy włościanstwu naszemu zrobili największą przysługę, na jaką nas teraz stać.“

* * *

Był to dla rolników w Galicyi ostatni czas, aby się wziąć naprawdę do skutecznej naprawy naszych stosunków agrarnych. Hr. Dzieduszycki pierwszy dał hasło i hasło to powinno pójść echem po kraju.

Stan rolnictwa jest najsmutniejszy. Włościanin żyje w nędzy, emigruje do Ameryki i przesycia się pesymizmem, w tak ciężkich warunkach życia zrozumiałym. Szlachcic na jednym folwarku ledwie dziś z rodziną żyżyć może.

Latyfundya się mnożą ze szkodą prawdziwej i ubogiej szlachty, tej g e n t r y, która temu krajowi dotąd służyła wiernie

i zacnie z poświęceniem swego mienia i dobra. Minęły te czasy, kiedy szlachcic na wioszczynie żył jak u Pana Boga za piecem. O wygodach życia, o przyjemnościach kosztownych dziś na wsi nikomu się nie śni, każdy jest szczęśliwy, jeżeli może koniec z końcem związać.

Ale nie może. I w tem jest sęk. O komforcie w mieszkaniu, jedzeniu lub ubraniu, który w stolicy rozwija lada kantorzysta bankowy, lada szmok reporter, lub lada agent socjalistyczny, w starych i zamożnych dworach nikomu się nie śni.

Niema za co się bawić, stroić, jeździć za granicę. Dzieci nawet niema za co kształcić. W szlachecki dom zagląda bieda.

To też przemówienie hr. Dzieduszyckiego bardzo w porę przyszło i zostanie wszędzie z wdzięcznością odczute.

* * *

Przemówienie to ma nadto doniosłe polityczne znaczenie. W przeciwstawieniu do uchwały Sejmiku większej własności stryjskiej, na którym Dr. Bieliński podobnie jak Dr. Czajkowski na Sejmiku większej własności przemyskiej chciał reformę gminną jeszcze raz puścić na delacyą, poseł hr. Dzieduszycki uważa reformę gminy jako „sprawę pilną, którą się Sejm przyszył zająć nie omieszka“.

Hr. Dzieduszycki wskazuje nawet kierunek tej reformy, zastrzegając, „aby autonomia nasza administracyjna nie poniosła szkody, aby istnienie i majątek dotychczasowych najniższych jednostek administracyjnych był uszanowany, aby unikać tworzenia ciał biurokratycznych“, a jednak „zapewnić bardziej sprężystą i ścisłą u dołu administracyą“. Jest to, poprostu mówiąc, program stworzenia okręgów gminnych.

Jakim sposobem hr. Dzieduszycki chce przy tej sposobności „ulżyć ciężarom nałożonym dziś na gminę i pojedyncze jednostki“, to już jego tajemnica, którą zapewne aż w Sejmie sam zdradzi.

Jakkolwiek bądz głos to bardzo poważny, który na szali uchwał przyszłego Sejmu z pewnością zaważy.

Przemówienie to znakomitego przewodcy Ateńczyków powitać należy jako znamienny zwrot rozmyślań hamletowskich do męskiej decyzji i do polityki czynów. Jest to zapowiedź energicznego podjęcia programu agrarnego i porzucenia biernej opozycji przeciw reformie gminnej.

Można tylko cieszyć się z tego zwrotu i życzyć hrabiemu Dzieduszyckiemu, aby jak najrychlej mógł o sobie powiedzieć:
„Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje.“

Witold Lewicki.



Egotyzm jako religia.

(„Gallia“ by Menie Muriel Dowie. London 1895).

„Ponieważ opinia publiczna i państwo nie pozwalają dotykać zbyt dobitnie tego przedmiotu, który był i jest główną racyą bytu literatury pięknej od jej niemowlęstwa, powieściopisarz i komedyopisarz zwykle ucieka się do zawikłanych i awanturnicznych fabuł, nie nie mających wspólnego z życiem realnem, artysta skrępowany względami ubocznej natury staje się trwożliwym w kolorycie, a smak ogółu stoi na niskim szczeblu.“

Temi słowy określił zdolny essayista Fryderyk Carrel kierunek belletrystyki angielskiej i w istocie znaczny procent prac fikcyjnych nie da się podciągnąć pod rubrykę literatury, a koła inteligencji, nie zawsze zdolnej odróżnić dzieło sztuki od książki, chwilową rozrywkę mającej na celu, schlebiają autorom „awantur“ i wszystkim opierającym swe fabuły na wypadkowości, o tyle naiwnej, o ile nieprawdopodobnej. Prymitywność uczuć anglosasów, oraz prozaiczny nastrój trybu życia codziennego tłumaczą same przez się rozmiłowanie się ogółu w sensacyjności.

Atoli obok rozpanoszonych prac tego pokroju płynie rączy i coraz to śmielszy potok, w którym odzwierciadlają się idee i ideały, nurtujące w głębi życia społecznego, obrazy z życia i sylwetki aktorów, występujących na jego scenie. Z powodu swych tendencyj, które gdzieindziej nie znajdują zawsze echa i poważniejszego wyglądu, utwory te rzadko ukazują się w przekładach, a tymczasem one to właśnie zasługują na bliższe poznanie.

Lubo w takiej atmosferze artysta czuje się kunsztowną rośliną, która nie rozwija się dość swobodnie, liczy współczesna literatura cały szereg imion godnych uznania, a w ich rzędzie kilka utalentowanych powieściopisarek. Pióra ich różnią się zasadniczo literackimi właściwościami i samoistością od tych licznych zawsze adeptek piśmiennictwa, które dostarczają wy-

wieści ani zdźbła humoru, który nie należy do charakterystycznych cech piór kobiecych, lecz nagrodzi sobie sownie dyskretnymi uśmiechami, które autorka wywołuje swymi niespodziankami, jeżeli nie uroni krokodylowej łzy rozczarowania nad najświeższej daty dziewicami. Bo ktobądź przechował jeszcze względem kapłanek domowego znicza anachroniczne, z mrzonek utkane gazy iluzji, które one same uprzejmie zdzierają nam z przed oczu — wyjdzie z tej lektury tak naszpilkowany, że ran jego nie zagoi żaden balsam patentowanego przez ogół idealizmu. Ale kto wybiera się na drogę ku prawdzie, winien być przygotowanym z góry, że zedrze kilka par butów.

Gallia jest córką ministra, członka izby parów i cichej, tuzinkowej Lady Hamesthwaite, której jedyną wybitną cechą jest, że niema w niej nic wybitnego. Jedyne ten potomek „pocziwego małomieszczńskiego rodu, który został wyniesiony do niewygodnej pozycji przez ordynarny tytuł“ odbija od otoczenia niczem nie usprawiedliwioną samoistością. Odpowiedzialność za to spada jedynie na Spencera i Milla, których dzieła siedemnastoletnia panna „przebiegła jak jaskółka“. Wynikiem tego pobieżnego lotu w krainę socyalnej etyki było, że żadna wiedzy, udała się na uniwersytet do Oxfordu. Wogóle bowiem była bardzo „wrażliwą i wydelikatnioną“ a właściwość ta objawiała się mianowicie w tem, że gdy wniesiono do pokoju niemowlę, przejmował ją dreszcz i opuszczała pokój natychmiast. Nie znosiła również towarzystwa młodych mężatek, które poruszając w rozmowie mocno wydekoltowane przedmioty, raziły jej delikatne uczucia. Nie wolno nie wierzyć autorce, lecz z pewnością zapomniała ona oznajmić nam, że Gallia przeglądała pilnie w inne, dokładniejsze źródła informujące ją o tychże drażliwych materyach. Składa bowiem wiele dowodów swej erudycji; o ile zaś wiadomo, nie wykładają tych przedmiotów dotąd w Oxfordzie. Jednem słowem Gallia to istota „wyższa“, brzydząca się kokieterią, nie mogąca słuchać bez cierpkiego uśmiechu zwierzeń miłosnych. Lecz — rzecz dziwna — ta sama panienska, zapytana przez matkę, co zajęło ją tak żywo w gazecie, odpowiada: „listy o uregulowaniu niemoralności przez państwo“. Jednakże okazuje się tyle względną, że „nigdy nie nudzi rodziców swymi poglądami na zajmujące ją kwestye“. Nie dzieje się to z powodu, aby z czemkolwiek miała się ukrywać, lecz poprostu, bo lekceważy sobie te zaplesniałe, małomieszcząnskie istoty. Raz jedyny tylko, gdy matka ośmiela się zwrócić jej uwagę, że takie przedmioty „niemile dotykają i zasmucają kobiety, które usiłowały dobrze odegrać rolę małżonek i matek“, Gallia wybucha jowiszowym śmiechem:

pożyczalniom ksiązek tandety literackiej, tak jak robionych kwiatów do składów kapeluszy. Przyczyniły się one do wzrostu i wziętości najnowszego prądu literackiego, który gdzieś indziej nazwalimy literaturą „zielonego gwoździka“.

Cechą zewnętrzną tego kierunku jest paradoksmo- mania i gowitwa za epigramatami, wewnętrzną zaś w pierwszym rzędzie rozbrat z konwencyonalizmem, a potem wstrząsanie żywotnych zagadnień, a mianowicie kwestyi małżeńskiej i emancypacji kobiet. Do tego stosu ksiązek przybyła kilka miesięcy temu „Gallia“.

Autorka tej powieści, M. M. Dowie, dzisiejsza pani Norman, wstąpiła w szranki literackie przy głosie fanfar, gdy z dzieciotygodniowej wycieczki w Karpaty przywiozła bombastyczną a dziś zapomnianą pracę p. t. „Dziewczyna w Karpatach“. Nadzwyczajny sukces ten zawdzięcza zgrabnemu mise en scène książki pseudo-awanturniczej treści i wreszcie pewnej właściwości pióra, która sprawia, że czytelnik, ukończywszy budującą lekturę, pozostaje w zupełnej niepewności, z kogo autorka sobie zadrwiła, czy z siebie lub z czytelnika, czy z karpackich niedźwiedzi, czy z swych ziomeków. Zapomnieliśmy wprawdzie dawno o książce, ale nie o autorce. Dzięki temu, ukazanie się na półkach „Gallii“ nie minęło niepostrzeżenie.

Pierwotna cecha nie opuściła autorki. Dlatego pewien sprawozdawca ma pewne wątpliwości, czy „tej zdumiewającej książki nie trzeba brać za żart lub satyrę“, dodając, że „jest ona w najgorszym guście“. Jest on wszakże przeświadczony o tem, że „Gallia“ jest produkcją stworzoną na seryo. Zgodzimy się z nim w tym punkcie, jak niemniej na to, że jest ona w najgorszym guście. Atoli, cobądź da się powiedzieć, posiada ona istotną wartość dzięki bezgranicznej niemal szczerości, z jaką odsłania nam autorka pewne strony charakteru angielskiego, pokrywane dotąd starannie różową kotarłą idealistów. Z „Dziewczyny w Karpatach“ dowiedzieliśmy się jedynie bardzo wiele o „dziewczynie“, z „Gallii“ zaś wyniesiemy bogatą wiedzę o dziewczynach.

Gdy p. Grant Allen wydał piękną powieść ¹⁾, w której pragnął wykazać, iż małżeństwo oparte na kontrakcie jest niegodnem — dedykował ją swej żonie, a autorka „Gallii“ dowodząc w niej, że „najwyższa forma egoizmu jest jedynie dobrą religią“, a kobieca wstydlivość, jak dotąd świat ją pojmował, absurdem i grzechem przeciwko swemu ja — ośiarowała ją swemu mężowi. Wprawdzie czytelnik nie znajdzie w tej po-

¹⁾ Grant Allen: The Woman who did. London 1895.

„Żony i matki były tak daleko od mych myśli, jak prosięta lub gwizdanie. Nie będę usiłowała tłómaczyć ci mych opinii. Nie powiem już ani słowa.“

A wielka szkoda, bo słysząc tyle o umiłowaniu Spencera i Milla, o przejęciu nową etyką, o wyższości bohaterki i t. d. straszna ciekawość przejmuje czytelnika, jak ona właściwie pojmuje tych socyologów, nad czem głęboko medytuje i czego wreszcie nauczyła się w Oxfordzie. Tymczasem jak Gallia swą matkę, autorka uważa czytelnika za zbyt ciemną kreaturę i nie wpuszcza go do labiryntu swych myśli. Lecz czyny mówią za słowa.

Okres oxfordzki jednakże nie mija zupełnie bezowocnie. Wydarza się tam Gallii wielkie nieszczęście; zakochuje się. Zrazu nie ogarnia okiem ogromu tego nieszczęścia, później dopiero, przyszedłszy do rozsądku, zauważa, jak wielką klęską jest miłość, a zwłaszcza pierwsza miłość, bo „pierwszy mężczyzna, grający rolę w życiu kobiety, nie jest przez nią wybranym (?), lecz podsuniętym przez wypadek“. Bądź co bądź uczucie to zaatakowało „jej dumę, jej niezależność i całą fabrykę jej charakteru“. Co prawda, niema tak potężnego uczucia, któreby z niejakimi widokami zwycięstwa mogło uderzyć na jej dumę, albo właściwiej — arogancję, a miłość, na jaką zdobyć się może Gallia, jest z swej natury tak nikłą, że nie zagraża bynajmniej uczknięciem żdzbla z jej miłego „ja“. W pospolitym języku nazwalibyśmy afekt Gallii do Essexu zajęciem się.

Jakim fortelem udało się Czarnemu Essexowi wzniecić ten błąd wyziew rybiej krwi? — Ordynarnością. Gallia i autorka bowiem wierzą niezachwianie w to, że Essex jest ordynarnym, lecz uważny czytelnik przyjdzie pod koniec powieści do przekonania, że jego rażące zbroczenia przeciwko przyjętym formom grzeczności są jedynie pozą, narzuconą sobie pod wpływem instynktownego popędu zaatakowania Gallii na jej własnym gruncie i wykazania jakimbądź kosztem swej wyższości. Wszystko, co mówi w pierwszej połowie książki, brzmi tak, jakbyśmy słyszeli bohaterkę. To samo już przemawia do jej „ja“, bo okrywa w młodym profesorze pokrewną sobie, „wyższą“ duszę. Autorka pracując najwidoczniej według modeli i w szczegółach nawet stosując do swych notatek, odmalowuje nam Essexu innym, aniżeli pragnęła. Stąd Gallia staje się bezwiednie ofiarą fortelu. Zaraz przy pierwszym spotkaniu bohatera uderza, że lubo nastrojony na najmodniejszą nutę, nie przepada on za „nowemi“ kobietami i mało się o Gallią troszczy, ważny powód, aby ona się nim zajmowała.

Spotykają się na obiedzie u ciotki Gallii. Tu dopiero dowiaduje się bohater, czy też udaje, że się dowiaduje, iż ex-studentka jest córką lorda Hamesthwaite i zdziwieniu swemu daje wyraz w tych słowach:

„A! to pani z takiego rodu?! Nie wyobrażałem sobie nigdy, aby pani mogła być tak nic nieznaczącą zerem, jak ten człowiek, który, jak słyszę, jest pani ojcem.“

Naturalnie Gallia jest zachwyconą. W czasie obiadu, gdy sąsiad zwraca jej uwagę, że upuściła serwetę i prosi, aby „tego zaprzestała“, zachwyty atakuje fabrykę jej charakteru. Essex zapytuje ją jeszcze, czy „w tym domu jada się zupę“, a Gallia uspokoiwszy go w tym punkcie, czuje się oczarowaną, bo Essex w istocie jest dzielniejszym od niej. Skutkiem zamieszania w fabryce swego charakteru zapomina, że flirt jest grzechem i inscenizuje ciekawe tête à tête w palmowym pokoju, „z wielką obawą, czy tylko Essex ją pocałuje“. Pocałował ją, ale tylko w rękę i bohaterka życzy sobie, aby była tak piękną, jak siostra Essexu, lecz uprzejmy amant pociesza ją wyznaniem, że jest z tego zadowolniony, bo „w tym razie by ją — ubóstwiał“.

„A gdyby mnie pan ubóstwiał?“ — pyta z „nową naiwnością“ Gallia.

„W tym wypadku pragnąłbym pani“ — cedzi profesor. „Lecz życie moje nie wyciąga rąk po ciebie; nie ubóstwiam cię, o nie!“

Tu Gallia poczuła, że „welon świątyni przedarł się na dwoje“ i pojechała do domu powozem. Przez pięć tygodni martwiła się gwałtownie, że pozwoliła się pocałować w rękę — bez wyznania Essexowi swych uczuć. Pospolita kobieta nie byłaby wątpiła ani chwili, że Essex zna stan jej serca doskonale, ale „wyższa“ Gallia czuje, że nie stało się zadość miłości prawdy. Przyobiecuje sobie zatem solennie poprawę z swej „karygodnej ordynarnej i podłej“ połowiczności.

„Jestem zanadto połowiczną — mówi sobie — nie będąc ani dobrą kobietą w starym stylu, ani dobrą kobietą w nowym.“

I tego nikt nie neguje. A gdyby kto za nieodzowną markę „nowości“ uważał swadę Essexu, mógłby zapewnić ją z czystym sumieniem, że jest dobrą pseudokobietą w przedpotopowym stylu.

Grzkie wyrzuty Gallii przeblagały opatrność, która w krytycznym momencie zseła Essexu, aby dać sposobność stroskanej pół-pannie zmazania grzechu i poinformować czytelnika, jak „nowa“ kobieta winna pojmować obowiązek wzglę-

dem swego „ja“. Pomimo, że wśród palm slyszała na własne uszy, że Essex jej „nie potrzebuje“ i „nie uwielbia jej“, od razu obrzuca go wyznaniem swych afektów. „Kobiety bowiem — zapewnia nas M. M. Dowie w innym miejscu — szanują nawet mordercę, jeżeli wykazał swą zřęczność“. Przyznać trzeba, że Essex utrzymuje się na wyżynie oczekiwań i zasługuje na szacunek, tak odpowiadając na wyznanie:

„Zastanawiano się w dobrem towarzystwie nad kwestyą, o ile ktoś jest usprawiedliwionym, stawiając drugą osobę w drażliwej pozycyi. Jako członek tegoż towarzystwa wie pani zapewne lepiej odemnie, jak rozwiązano to zagadnienie. Lecz z głębin mego nieco przykrego doświadczenia życiowego mogę panią poczęstować tem zaręczeniem, że — gdyby pani nagadała to wszystko dziewięciu z pośród dziesięciu innych mężczyzn. byliby panią pochwycili, pocałowali i powiedzieli jej Bóg wie co takiego, na co pani nie jest przygotowaną... Dziewięć kobiet z dziesięciu, wygłaszając podobne rzeczy, oczekiwałyby pocałunków. Otóż nie jestem bynajmniej pewnym, czy pani jest tą dziesiątą kobietą, lecz jestem pewnym, że — jestem tylko dziesiątym mężczyzną. Przyzna pani, żem jej nie pocałował?“. .

Na to Gallia:

„Dlaczego miałabym wzbraniać się przed całusami, kochając pana?“

Aby po takiej i nie pierwszej odprawie jeszcze rzucać się gwałtem na szyję Essexowi, potrzeba mieć nieludzko grubą skórę, którą prócz „wrażliwej“ i „dumnej“ Gallii żadna ani „nowa“, ani „stara“ kobieta nie może się poszczycić. Uważałaby ona mężczyznę, który się w niej zakochał i każdego, któryby nie okładał jej szpicrutą, za głupca i dlatego nie przestaje zaprzętać sobie w wolnych chwilach głowy Essexem. Myśl o nim towarzyszy jej do Algieru, dokąd wyjeżdża z chorą matką, która tam umiera.

Ustęp, w którym M. M. Dowie opisuje refleksye Gallii przy łożu śmierci matki, jest najohydniejszym, jeżeli nie bowiem najobrzydliwszym, jaki zdarzyło mi się znaleźć w literaturze. Wszystkie pornograficzne opisy zdadzą się wonnymi kwiatami wobec tych zastanawiających kart z „Gallii“. Ułomności czy zбочenia zwierzęcia ludzkiego, dotyczące strony jego li tylko materialnej, nie wykluczające jaśniejszych odbłyśków natury, wzbudzają wstręt lecz i litość zarazem, a może pragnienie wykorzenia zła. Tymczasem nędza moralna, wyschłość serca, patologiczna egomania, których żywym uosobieniem jest ta panna wykształcona na uniwersytecie, obracająca się w kole istot cywilizowanych, zadzierająca głowę pod nie-

biosa — paraliżuje najslabszy promień sympatii, jaką człowiek może mieć dla człowieka i przejmuje absolutnem zwątpieniem w naturę cywilizowanego króla wszechstworzenia.

„Jakiego szczęścia lub przyjemności doznałam kiedykolwiek ze strony matki?“

Otóż jedyne pytanie, które zajmuje tę pannę przy śmierci matki, a odpowiada sobie na nie: żadnego. Zupełnie nie uważa, aby w czemkolwiek śmierć matki przyniosła jej uszczerbek. Pojmujemy, że dzieci nie odpłacają zawsze równą monetą za przywiązanie rodzicom, pojmujemy nawet, że Gallia nie żywi ni iskry sympatii dla swej rodzicielki, lecz jak najmniej uczuciowa osoba, skazana na długoletnie jej towarzystwo, byłaby siłą przyzwyczajenia zbliżyła się do lady Hamesthwaite i nią zainteresowała. Gallia nie pamięta wcale, że ta osoba umożliwiła jej studia w Oxfordzie, z których zapewne wiele skorzystała, że wyjechała na jej życzenie w interesującą podróż do Algieru i dostarczała środków na piękne toalety, które Gallia umiłowała goręcej od Spencera i Milla. O tem wszystkim Gallia zapomina w swym bezdennym, nienasyconym egoizmie. Myśliwy na widok tarzającego się we krwi zajaca odczuwa bodaj więcej żalu, niż ta córka na widok konającej matki. Bo sam akt śmierci nawet nie porusza tej „wrażliwej“ białogłowy, ani zastanawia jako objaw prawa natury, aczkolwiek Gallia w przekonaniu autorki jest niepospolicie inteligentną. To nie kobieta, nie człowiek, to — skała, ideał egotyzmu, któremu autorka wzniosła pomnik w swej epopei.

Czytając dzięki heroicznym wysiłkom dość dobrze w swej naturze, zdaje sobie ona z tego sprawę, a okoliczność ta nie wpływa łagodząco, lecz przeciwnie podnosi uczucie wstrętu i odrazy. Na domiar autorka odsłania ten rys charakteru z przedziwną naiwnością, afektacją piękna i wynosi ten szczyt samolubstwa do godności dogmatu życiowego. Na chwilę przesuwają się myśl przez głowę Gallii, że „w końcu jest rzeczą istotnie dobrą poświęcić się i żyć dla innych“, lecz odpycha ją jako niegodną, bo niosącą ciężki wyrzut dla niej samej. Nie dość na tem; aby zamydląć czytelnikowi oczy, ubiera swą egomanią w teorię, tak jak prosty zbrodniarz w anarchizm i pamiętna na słowa Goethego: „gewöhnlich glaubt der Mensch, wenn er nur Worte hört, es muss sich dabei auch was denken lassen“ — oznajmia nam, że poświęcanie się dla kogoś jest — niemoralnem. Naturalnie jako istota arcyprymitywna, ukuta z jednej bryły lodu, w której czasem błysnie słaby płomyk zmysłowości, nie wie jakby można połączyć względy li tylko osobistej natury z pożytecznością dla innych. Temperament jej

nie dopuszcza takich naturalnych kompromisów. Nie przypuszcza także, że człowiek pracując dla siebie, działa zarazem dla społeczności, że w poświęceniu dla kogoś można znaleźć źródła zadowolenia, nie widząc poza swem ja, na domiar małym i filisterskim, zgoła nic.

Zgon matki wszakże budzi w niej nowy ton. Od spoczywającej w trunnie żąda informacji „co jest lepszym, miłość czy macierzyństwo“ i przychodzi do przekonania, że jądro szczęścia kobiety mieści się w kołysce. Tu wstępuje Gallia w drugą fazę rozwoju duchowego.

„Macierzyństwo jest samolubnym — mówi sobie — zatem harmonizuje zupełnie z moim credo, dowodzącem, że najwyższa forma samolubstwa jest jedynie prawdziwą i dobrą religią, jedyną, która może zrównoważyć dobroć.“

Jako zwierzę systematyczne i trzymające się oburącz swego credo, Gallia spostrzega, że uczucie macierzyńskie jest samolubnym i dlatego jedynie nie stawia mu oporu. Jakie byłoby jej zdziwienie, gdyby jej kto zwrócił uwagę na to, że w każdym uczuciu da się odszukać pierwiastek egoistyczny? Dość wszakże, że jeżeli nawiedzi ją jakie uczucie, nawet tak potężne jak macierzyńskie, Gallia jest zdolną tylko pochwycić tę jego stronę, która bezpośrednio odnosi się do jej małego ja.

Po powrocie do Londynu rozgrywa się inna scena pomiędzy bohaterką a Essexem, który jej zaręcza, że jest „nieprzystępną dla żadnej najprostszej kobiecej emocji“. Gallia zaś potwierdza opinię tę, wyznając, że epoka „uczuciowej miłości“ minęła, a miejsce jej zajęło pragnienie dziecka.

Michelet, widocznie człowiek zacofany, za którego czasów nie istniały jeszcze „nowe“ kobiety, sędzi, że poprzednikiem pragnienia macierzyństwa — wspólnego wszystkim gatunkom zwierząt — jest uczucie miłosne. Zaobserwował porównano z wszystkimi, iż jedne osobniki budzą w nas sympatyę, podczas gdy inne działają odpychająco. O naturalnym doborze w najprymitywniejszej formie Gallia nic nie wie, lubo sama mu podlegała. Jej zdrowy rozsądek kładzie tamę normalnemu biegowi rzeczy.

„Gdybym zakochała się jeszcze — mówi do Essexu — przedmiotem miłości mógłby łatwo być człowiek wręcz nie stosowny na ojca mego dziecka, ktoś nie dość piękny, silny, zdrow i z nie dość zdrowego pnia.“

Ufa ona wyłącznie swemu rozumowi, będąc dość naiwną, aby sądzić, że sam rozum wpływa na uformowanie jej życia. W swej bezgranicznej arogancji nie tylko wynosi głowę ponad innych ludzi, lecz mniema być władczynią ponad okolicznościami. Spoglądając na płec mężką z tego punktu widzenia,

nie daje żadnego posłuchu instynktowi, który przy wyborze męża jest wybornym i cennym doradcą tak zwanego rozumu, działającego zwykle według podszeptów swego brata — instynktu, który skromnie trzyma się na uboczu.

Na słowa Gallii bohater wpada w ekstazę, całuje jej rękę, wołając: piękna! piękna! i zaczyna się kochać w niej — bo jest niekochanym. Po dłuższej dyspacie o małżeństwie i macierzyństwie oddała się spokojnie, a Gallia także idzie swoją drogą.

Występuje w powieści inny typowy anglik, Mark Gurdon, urzędnik jednego z biur ministeryalnych, człowiek zimny, bezsercowy, samolubny, obrachowany do najwyższego stopnia. Motorem poruszającym tę ludzką maszynę jest ambicja. Naturalnie okoliczność ta trafia w samo seduo duchowej fabryki Gallii, lecz nie sprawia żadnego w niej zamieszania. Epoka słabości minęła przecież. Obrachowuje ona zatem z wątpliwej wartości tabliczką rachunkową w rękę, o ile byłby Gurdon odpowiednim na ojca jej dziecka, dosłownie tak, jakby handlarz byłby oglądał konie w celu wyszukania najstosowniejszego okazu do rozplodu. W międzyczasie oględzin raz przesuwa się cień Essexu przez jej głowę i wywołuje ciekawą refleksją, która zadaje cios śmiertelny jej teorii.

„Kamień wiekowych tradycji spoczywa na mnie; nie mogę być sama sobą. Wszystkie zmarłe kobiety, które podobnie postępowały, zmuszają mnie, popychają do pójścia w ich ślady . . . Cóż to za czeza gadanina o wolności czy wyswobodzeniu swego ja?! Jak gdyby to było podobnem! Każda kobieta, zbliżając się do mężczyzny, przybiera sentymentalny uśmiech, jak małe, żółte, niezgrabne gąsiątko, gdy zdąża kwilać w sadzawkę. O jak czczemi były deklamacye o indywidualnej wolności! . . . Biedne kobiety, jeżeli to jest celem ich pragnień; my rozwiązujemy jeden węzeł, aby móżdżk zawiązać drugi.“

W tym momencie przemawia duch Gallii.

Essex, bądź jak bądź, był miłością jej życia i gdy bliską jest oddać rękę człowiekowi, który nie wzbudził w niej ani iskiereki sympatii, odzywa się tłumiony głos natury. W braku kobiecości bowiem Gallia nie wyczuwa, że i ona pociąga Essexu fizycznie, że on chętnie puściłby wodze sercu, gdyby czuł, iż jest szczerze kochanym. Widzieliśmy jak w chwili, gdy ona mu się wysuwa z rąk, on zbliża się ku niej, skłonny do kompromisu, jakby nie chciał ostatecznie rozstać się z tą kobietą, z którą utożsamił przyrodzony swój ideał kobiety, od której wygląda urzeczywistnienia swych tkliwych nadziei. Lecz bohaterka jest ślepą na to; zresztą jej rozsadek doradza przyjąć

Gurdon. Ma tę pewność, że mu się podoba, a fakt ten, zrealizowany jasno, przemawia do niej, łaknącej dziecka, tak żywo, że pierzcha ostatni płomyk sympatii do Essea. Czując się przygarnięta już przez inną indywidualność, mimowolnie zadowolnienie zdradza przez owe kwilenie gąsiątka i wąpi w wolność swego ja, które tak łatwo podlega względom ubocznym.

Tak tłumaczmy sobie te wykrzykniki, do których rozwiązania ani Gallia, ani autorka nie dały klucza. Bo wyrwały się one bohaterce w chwili natchnienia, gdy okiem sięgła wyżej; nie wyrozumowała ich zupełnie i puściła w świat bez cenzury rozumu. Pokutowały jej po głowie frazesy, pozbierane w pierwszej fazie życia i ubiera się w czeche deklamacye raz po raz, aby podziwiać się samej w lustrze.

Nie może być sama sobą. Egotyzm przeto nie zawiódł ją do celu; przekonała się nie tylko o jego bezsilności, w styczności z światem, lecz niemniej o tem, że sama sobie nie może wystarczyć. Nie dość bowiem, że względy obojętnego mężczyzny przejęły ją zadowolnieniem, ale odczuwa potrzebę dziecka, innej istoty, w której, jak rzekła do Essea, byłaby skłonną „zatopić swe ja bez względu na to, czy otrzyma cośkolwiek w zamian“. Nie udaje jej się już przeto pojmować macierzyństwa w sensie ściśle egoistycznym.

Jest to — bankructwo religii egotyzmu, spowodowane tem, iż wyznawcy tej modnej wiary nie rozumieją, co to znaczy: „być samym sobą“. Swe ja uważają za makrokosmos, wkoło którego obracają się wszystkie światy; tymczasem okazuje się na każdym kroku, że ów makrokosmos jest tylko jedną z miliardów planet, obracających się wokół wielkiego jakiegoś słońca. Odnaleść to ręką natury nakreślone koło i trzymać się zawsze wytkniętej drogi, to znaczy być samym sobą i wiernym sobie. W istocie jest „grzechem przeciwko swemu ja“ zbaczać z tej linii, lecz ów względny egoizm jest harmonią z światem, w jakim bądź świetle się on przedstawia, jest siłą i energią do życia, jest obowiązkiem istoty, wyposażonej samowiedzą i godnością osobistą, istoty pragnącej przynieść pożytek społeczności i stać się podporą słabszych. Kto bowiem nie umie kochać i cenić siebie mądrze, tego miłość jest nie tylko niepożądaną ale nieszczęściem, a czyny bezowocne lub spalone, bo oparte na fałszywej podwalinie. Natury miękkie, nie samostne, a uczuciowe, którym ich własne ja jest ciężarem, usiłują przelać je w inną indywidualność; natury prymitywne, aroganckie a zimne, zakreślają sobie zbyt wielkie koło, innych uważając za zera, które przyczepione tylko do nich samych, jedynej cyfry, nabierają znaczenia, z tym wynikiem, iż skrzydła

wypowiadają mu posłuszeństwo i tak spadają na wytknięty sobie gościniec. Tymczasem egoizm na mniejszą skalę idzie zawsze pomiędzy temi skrajnościami.

Przykazania tej wiary brzmią zupełnie odmiennie od dogmatów Gallii. Gdyby nie „ciążył na niej kamień wiekowych tradycji“ i ogólnej tendencji, który pcha ją ku wyuzdanemu samolubstwu, zrealizowałaby swój błąd i przekonała się, że — mówiąc słowy skandynawskiego pisarza Önsteda — samolubne spekulacje są zabójstwem naszego ja (calculating selfishness is the annihilation of self), a kardynalnem przykazaniem egoistów normalnych:

„Zapomnij o swem ja, lecz nie zagub go nigdy“. (Forget thyself but never lose thyself.)

Lecz Gallia nie wyciąga tak daleko idących wniosków. W swych oxfordzkich przechadzkach z Essexem znalazła kamień filozofów i pomimo swych wykrzykników, usiłuje dowieść, że egotyzm jest jedynie dobrą religią.

Mark Gurdon, jakby powiedziała autorka, pragnie i potrzebuje jej, posiada ambicję i otwartą karierę, która zdaje się w oczach Gallii być jedną z kwalifikacyj na ojca, ma także większe nogi i ręce od Essexu, który źle jeździ konno i małe ma ręce. Dawniej już dostrzegła bohaterka, że ma drobne nogi. (Widocznie Gallia nie wyposażyła natura bystrym zmysłem obserwacyjnym, kiedy nie zauważyła tego odrazu.) Gurdon za'em zda się być stosowniejszym na ojca, bo aczkolwiek Essex nie figuruje jako konkurent, bohaterka wyobraża sobie, że wybiera sobie męża. Poprostu zaś ona tylko przekonuje się do niego. Lis bowiem nietylko utrzymuje, że winogrona, których nie może dosięgnąć, są kwaśne, ale upiera się przy tem, że tarnina, którą ma w zębach, jest słodka.

Na ostateczną decyzję oddania ręki Markowi wpływa ciekawa okoliczność Otóż Gallia posłyszała, że Gurdon ma kochankę, która o mało nie obdarzyła go potomkiem. Naturalnie nie oburza jej to. Kiedyś wprawdzie, mając lat siedemnaście, zastanawiała się w wolnych chwilach nad prostytutką, ale teraz głowa jej zaprzęta się mędrszemi rzeczami. Fakt ten wywiera na nią ogromne wrażenie i otacza aureolą Marka. Nie rozumie wszakże, dlaczego tak jest. Pokuśmy się o rozwikłanie tej łatwej łamigłówki.

Otóż w tej kobiecie, zdolnej kupować... miłość, budzi się zazdrość samicy. Prócz tego zazdrości ona kochance Marka płodności, której u siebie nie jest pewną. Jeśli prostytutka była solą w jej oku, to bynajmniej nie z pobudek obywatelskich lub etycznych, ale li tylko z powodu, że przeczuwała w tej sferze

zaciekawiające rzeczy, do których nie miała przystępu. Na straży tak znanej cnoty bowiem stał zdrowy rozsądek, czyli raczej metafizyczny instykt, wykazujący materyjalną wartość cnoty. Zresztą pseudo-niezależność jej nie wykracza wogóle przeciwko kodeksowi salonu, bo zdumiewające swe poglądy nawet wygłasza tylko wobec uprzywilejowanych. Interpretacją tą potwierdza fakt, że każda myśl lub uczucie, jakie nawiedzi jej jaźnią, musi pozostawać w ścisłości z małym jej ja, a należy ona do tych egoistów, którzy chcąc żyć sami, radziby odebrać życie innym.

Więść o pokatnym stosunku Gurдона dowodzi, że „nie jest on jednym z tych wielu mężczyzn, w których niema iskry namiętności“. Zdał przeto egzamin, a okoliczność podsunęła jej jego cenzurę. Ale to nie wystarcza jeszcze Gallii.

Zanim Mark się oświadcza, Gallia spotyka się z Essexem, zaciekawiona, „jak on teraz na nią podziela“. Pomimo, że z powodu drobnych kończyn tak nisko spadł w jej oczach, pomimo, że brzydzi się flirtowaniem, nastęrcza mu przeciw okazją do wynurzenia afektów, aby pobawić się zbytecznym pacholkiem i potraktować upokorzonego pięścią swej lordowskiej dyalektyki.

Zdarzyło się tego pamiętnego dnia, że okulał wiał koń Gallii. Bohaterka odwozi go wraz z Gurdonem w oddziale kolejowym, dla czworonożnych zwierząt przeznaczonym. Aby upewnić się sama, że ona wybrała Marka, a nie on ją, oszczędza mu „fatygi odgrywania przeciętnej sceny oświadczyn“. Gallia bowiem nie robi nic jak inni i to nazywa się — samoistnością. Aby szybko ubić interes, wyznaje że zastanawiała się nad poślubieniem go i zgadza na oddanie mu ręki. Dyplomata raduje się w duchu, że sprawa poszła jak z płatka i oczekuje sentymentalnej sceny świeżo narzeczonej pary. Lecz praktyczna i uczona niewiasta obrzuca go w zamian znaną gadaniną o stosunku płci i dziedziczności, której koń i dyplomata słuchają z pokorą. Po tym prologu bohaterka przystępuje zaraz do rzeczy; stawia pytania dotyczące jego kwalifikacyi na ojca i jedynie dziwi czytelnika, że nie wymaga prócz słów żadnych innych dowodów, których pragnienie usprawiedliwiłoby ją nieco w oczach czytelnika. Mark, tylko mężczyzna, nie wpada wcale na myśl, aby z swej strony domagać się wykazania kwalifikacyi na matkę, a szkoda, gdyż przekonałby się, że ma do czynienia z lichwiarzem. Pominąwszy bowiem stronę duchową i moralną bohaterki, pod względem fizycznym nie przedstawia się ona wcale dodatnio. Na mocy rzuconych nieogłędnie półsłówek oraz logicznych dedukcyj, wynikających z jej nieustannego prze-

mysliwania o dziecku z pewną obawą osoby, nie wierzącej w swą płodność, da się twierdzić, że Gallia nie jest silnego zdrowia i nie pochodzi z zdrowego pnia. Wchodząc przeto w tę spółkę rozplodową, Mark przynosi znaczniejszy kapitał.

„A teraz, powiedz pan — przesłuchuje go Gallia — czy lubi pan dzieci?”

Na to charakterystyczne pytanie Mark otwiera zdziwione oczy, ale jako prawdziwy dyplomata, wychodzi cało z tej sytuacji.

„Będę kochał moje dzieci, jeżeli Bóg i ty dacie mi je.“

Pragnąłby on teraz wreszcie usłyszeć, że jest kochanym, ale Gallia, mająca jedną zaletę: szczerłość, oznajmia, że go nie kocha, ale szuka w nim ojca dla swych dzieci.

„Zdziwił się bardzo“ — pisze M. M. Dowie, a zdziwił się jeszcze więcej, gdy dodała:

„Wydaje mi się, że roiłam już o poślubieniu pana — na wypadek, gdybyś mnie pan chciał — wówczas, gdy doszła do mych uszu wiadomość o chorobie twej kochanki.“

Naturalnie czytelnik śmieje się z dyplomaty, który nie oglądał dotąd „nowej“ kobiety, które lubią zadziwiać jakim bądź kosztem, tak jak mnogie powieściopisarki, dla których literatura jest „dojną krową, dającą tak długo“ — oklaski galeryi, aż nie urwie się wymię.

Interes przychodzi do skutku. Gallia wynosi pewność, że Mark nie jest bez namiętności i przybiera taką minę, jakby chciała pochwalić się przed nami: „rozsądkowi i egoizmowi mam do zawdzięczenia, że zdobyłam stosownego ojca dla moich dzieci. Z tego moralna nauka, że najwyższa forma egoizmu jest jedynie dobrą religią“. Na tem powieść się kończy.

Że z tą arogancką miną Gallia jest wielce śmieszna, zbytecznie dodawać. „Nowa“ kobieta zawsze ma rację, zawsze odgrywa rolę komendanta, a nie więcej do tego jej trzeba, prócz szpady i epoletów. Ona przecież nie wybierała nikogo, tylko brała tego, który „jej potrzebował“. Nie rozumowi też przypisać należy tę zdobycz, lecz wypadkowi, czy szczęściu. Dziwnym wypadkiem bowiem, za który bohaterki winić nie można, znalazł się ktoś, który mógł jej potrzebować, a tłumaczy się to jej majątkiem i stanowiskiem. Zresztą ponieważ Galli tyle było potrzeba oględzin, świadectw i przesłuchów, aby uwierzyć w kwalifikacje Marka na tę zaszczytną posadę, wolno nam jeszcze zająć stanowisko skeptyka względem jego „namiętności“. Lecz miejmy nadzieję, że „rozum“ zawiódł ją do celu.

Gdyby wszakże pokładane w Marku zaufanie miało okazać się płónnem, Gallia nie byłaby godną pożałowania, albowiem, jako istota mądra, przewidziała wszystko. Jakoż w rozmowie z dwoma pannami wyłuszcza swój genialny pomysł, mający na celu zapewnienie familom zdrowego potomstwa. Otóż w razie, gdyby np. żona była chorowita, małżonkowie powinni przyjąć do domu zdrową kobietę, tak jak zgadza się mamkę, której obowiązkiem byłoby mężowi chorowitej żony dostarczyć dziecka za stosownem wynagrodzeniem. Tym sposobem, objaśnia M. M. Dowie, przynajmniej jedno z małżonków zajęłoby się szczerzej dzieckiem, podczas gdy adoptowane byłoby zawsze zupełnie obcym sprzętem. Gdyby zatem Mark okazał się chorowitym, kreatorka jedynie dobrej religii, działająca zawsze zgodnie z swymi poglądami — przyjąłaby na służbę zdrowego lokaja.

To nie żart. Tego rodzaju pomysły nie są jedynie wyskokiem mózgu Gallii, znajdującego się w stanie patologicznej egomanii, lecz pojawiają raz po raz w zmateryalizowanym do szpiku kości społeczeństwie. Ograniczamy się na przytoczeniu jednego wymownego przykładu.

Wydawca „Review of Reviews“, Mr. W. T. Stead zdobył sobie imię dzięki obfitości swych idei, które jeżeli nie przyniosły dotąd wielkiego pożytku ogółowi, wzbogaciły znakomicie redaktorską kasę. Proponuje on ułatwić bezdzietnym rodzinom adoptowanie niemowląt za pośrednictwem biura: Baby exchange. Jak pokazują się z ofert, nadetatowe niemowlęta rekrutują się przeważnie z dzieci naturalnych, a okolicznościowo można nabyć w dodatku matkę¹⁾. Prócz tego zadaniem biura ma być pośredniczenie w zawieraniu ślubów małżeńskich, oraz przy zamianie — żon i mężów (sic).

Projekt ten słynnego dziennikarza udowadnia w drastyczny sposób, że coś zepsuło się w rodzinie angielskiej, tym wozie malowanym zwykle tak jasnemi barwami. Dlatego to — jak stwierdza M. Filou w „Revue de Paris“ — w żadnym kraju instytucja małżeńska nie jest wystawianą na tak gwałtowne napaści, z na zewnątrz zarówno jak z na wewnątrz, jak w Wielkiej Brytanii. Jeżeli inne poglądy nie wpłyną na zmianę form małżeńskich, na podstawie tych i tym podobnych idei wolno się pocieszać nadzieją, że w wieku XX. ów „home, sweet home“, opiewany przez poetów, pracujących wyłącznie przyzwoitymi i patentowanymi przez oficjalną moralność ideałami,

¹⁾ Patrz ofertę jedyną pod rubryką: „Baby and Matrimonial exchange“, zeszyt wrześniowy.

zamieni się bez żadnych komedyj w rozplodową oborę, dostarczającą cywilizowanych ludzi, opartą, jak dziś, na ścisłym „business principal“ i prowadzoną według podwójnej buchalteryi.

Nasuwa się pytanie, o ile Gallia jest typową angiolką.

Bohaterka posiada dwie zalety: dar dobrego ubierania się i szczerość. Szczerość jej jest tem drogocenniejszą, że fabryka jej charakteru zawiera nieoczekiwane tajemki, aczkolwiek wielokrotnie erupcye tej szczerości są o tyle śmieszne i brutalne o ile zupełnie zbyteczne, lub nie prowadzące do celu. Lecz być może, iż dałyby uleczyć się za pomocą zimnych okładów na zdrowy rozsądek. Mimo to wszakże Gallia umie zataić niejedno, gdyż lubo nie pozostawia Marka w wątpliwości co się tyczy swych uczuć, nie objaśnia mu stanu fizycznego, grającego rolę dominującą. Jednakże ta szczerość połowiczna cechuje kobiety tego pokroju, które otrzymały miano: nowych. Ma ona na celu nie tyle odsłonięcie swego ja, ile raczej wyegzaminowanie innych w kwestiach spornych, lub pomrokiem konwencyonalizmu osłoniętych. Celem jej mianowicie — bo nawet ta szczerość płynie z wyrachowania — zdumiewanie i olśniewanie erudycyą, samodzielnością umysłu, bogactwem i „nowością“ pomysłów.

Istoty te wychodzą z tej zasady, że wszystko, co jest im samym przyrodzonym, przyjemnem i dogodnem — jest dobrem. A ponieważ każda z nich jest osiłą świata, zatem obleka się te rysy indywidualne w teorię i wywiesza chorągiew jak najwyższej gwoli zbudowaniu prostaczków. Pozorne i oględne lekceważenie konwenansów robi wrażenie reklamy, a podyktowanym jest przez arogancję, odzianą w przejrzystą szatę afektowanej prostoty i naturalności. Poza tą chorągwią z godłem dobra publicznego kryje się brak fundamentalnej sympatii dla bliźnich, bezdusznosc, bezdenna wyschłość serca i często wyuzdanie bez namietności. W takich istotach ucieleśniona „nowa“ moralność jest gorszą i stokroć wstrętniejszą od starej niemoralności, będąc gołosłownem zastosowaniem formuły, podczas gdy niemoralność znajduje wielu rzeczników pod postacią wybujałości umysłu, krewkości, przyrodzonej namietności, wreszcie stosunków i okoliczności. Gdyby też każda kobieta myśląca podobną była do Gallii, powiedziećby można z Lessingiem, że „kobieta, która myśli, jest równie wstrętną, jak mężczyzna, który się szminkuje“.

Takie młode kobiety nie są ani młode, ani kobiece i dlatego — jak poucza obserwacya życiowa — przeciętny mężczyzna podlega w daleko wyższym stopniu wrażeniu kobiety ko-

biecej, chociaż zacofanej i głupiej, anizeli kobiety mądrej o męzkim zakroju, nawet gdyby o całe niebo górowała ponad nią pod względem etycznym i moralnym. Bo przeciętny człowiek żyje z pozorami charakteru i serca, a każdy mężczyzna, zgodnie z przykazaniem natury, szuka w kobiecie w pierwszym rzędzie — kobiety. Skutkiem tego z pośród kobiet ta ma największe widoki podobania się, która posiada największą dozę kobiecości.

Największa wadliwość w fabryce charakteru Gallii tkwi w uderzającym braku szczerego uczucia. Gdyby uczucie takie stanowiło jedną śrubę w jej duchowym mechanizmie, słabości i wady, występujące z całą brutalnością i w formie potwornej, obniżyłyby się o cały ton, zeszły do naturalnych rozmiarów. Nie byłaby to wcale ta sama Gallia. Ale ona lęka się miłości. Cała ta klasa kobiet odpycha od siebie miłość — w wielu razach z powodów łatwych do usprawiedliwienia — głosząc przed światem, że miłość jest słabością, bezwzględną śmiercią ich „ja“, podczas gdy tak nie jest, jeżeli osoba należy do wyposażonych samowiedzą i godnością normalnych egoistów. Lecz w gruncie rzeczy nie lękają się one tyle tej słabości, ile zawodu miłosnego, przerażone ogromną konkurencją na rynku matrymonialnym. Cóż zatem dziwnego, że szukają się same i tłumiąc głos serca tłómaczą sobie, że tarnina, którą posiadają, jest jedynie słodką. Z natury swej rasa anglo-saska nie jest uczuciową, a więc kwiaty uczuć marnieją na zmateryalizowanej glebie i w istocie ogólna tendencya pcha ludzi w ramiona teoryi, że samolubstwo jest patentem życiowej mądrości. W takiej atmosferze i temperaturze wyrastają Gallie.

Autorka sama zapewnia nas, że „dziś wiele Gallii chodzi po świecie“ i dodaje, „że po większej części są bardzo nieszczęśliwemi“. Być może, lecz zakrawa poprostu na żart ze strony autorki, gdy mówi o Gallii, że „bez zarozumiałości i samowiedzy całe jej życie było pragnieniem zdobycia wiedzy i pozostania wierną tej wiedzy“, albo gdy wmawia w czytelnika, że Gallia „cierpiała, bo poglądy jej były szlachetniejsze“. Myślałby kto, że ma przed sobą męczennicę . . . A tymczasem brak uczucia oszczędził jej tysiącznych niepokoi i cierpień moralnych, którym snadnie podlegają istoty mające dusze. Zarodek nieszczęścia takich Gallii mieści się w tym wyuzdanym egoizmie, który je tłoczy, przygniata i męczy; wystawiają się one co chwila na zawody, bo ten świat wzbrania się destroić do nich i uznać ich ja za centralny punkt wszechstworzenia.

Literatura zielonego gwoździka dostarcza kilku sióstr bohaterce tej powieści, a kreacye te zawdzięczamy niemal wy-

łącznie autorom płci żeńskiej. Aby bowiem tak pochwycić i przedstawić kobietę, na to trzeba być — kobieta. Męczyzna, gdyby w teorii ciskał na płęć żeńską wszystkie gromy z szpichlerza jowiszowego, z chwilą gdy tworzy dzieło sztuki — za którego ostateczny wygląd odpowiedzialnym jest temperament — odmaluje najwstrętniejszą postać kobiecą takimi barwami, że po przez teorye ujrzy czytelnik na dnie jego natury przyrodzoną iluzję do płci drugiej. Tem tłumaczy się też, że pesymiści w teorii, stawieni oko w oko z kobietą, lub tworzący postać kobiecą, stają się często i to odrazu i niespodzianie optymistami. „Kwilenie“ nie jest bynajmniej przywilejem gąsiątek. Objektywizm zaś ma ściśle określone granice. Przykładu na powyższe wywody dostarcza głośna powieść p. t. „Dodo“, pana Bensona, który szkicując typ duchowej siostry Gallii, nie umiał przecież uczynić jej do tego stopnia wstrętną. Podobne sylwetki spotykamy także w powieściach pani Craigie, piszącej pod pseudonimem John Oliver Hobbes, a mianowicie dwóch innych znanych autorek: pań Sary Grand (np. „Zbyteczna kobieta“) i Oliver Schreiner (np. „Historya afrykańskiej farmy“). Ratując indywidualną wolność kobiety od zagłady w paszczy płci brzydkiej, pogrążają one to deklinowane przez wszystkie wypadki ja w błoto bezduszości, wyiębłości, egomanii i cywilizacyjnego upadku.

W „Gallii“ występuje inna, na trzecim planie trzymana postać panny, rdzennie pokrewna Gallii, lubo nie strojąca się w teorye. Oddaje się ona wyłącznie i, jak zaręcza autorka, z talentem obmyśliwaniu nowych kostymów. Jest to popularniejszy typ pospolitej lalki, którą groźba staropanieństwa z pomocą Spencera, Milla i źdźbła energii może ozdobić stemplem nowości.

Siostra Essexa, Małgorzata, stanowi tło, na którym Gallia odbija się tem czarniej. Gallia jednakże lubi się oglądać sama na tem tle i jedynie kontrast natury zbliża ją ku Małgorzacie. To typ zdolnej kobiety angielskiej bez etykiety. O ile Gallia lubi lśnić i królować, o tyle cicha Małgorzata nie narzuca się i nie reklamuje swych wdzięków. Skala jej uczucia nie jest wysoka; nie lśni ono tysiącem blasków, nie zdumiewa otoczenia wulkanicznymi wybuchami, nie będzie też opromieniało kochanka i utrzymywało w ekstazie, lecz uczucie to zajmuje właściwe sobie miejsce w prostej jej naturze, jest integralną częścią w jej duchowym mechanizmie. Raz rozniecone płonie niezmiennym ogniem. Małgorzata odrzuca rękę Gurдона, bo oddała swe serce Leightowi, aczkolwiek malarz nie stoi na tak wysokim szczeblu hierarchii społecznej. Instynktownie odczuwając różnicę za-

chodzącą pomiędzy zimnym, obrachowanym dyplomata, a tym prosto z mostu malarzem, pozostaje wierną swemu uczuciu, pomimo że cygan-artysta zaledwie ją zna i żyje w Paryżu życiem boulevardiera. Gdy spotykają się pod dachem lorda Hamesthwaite, malarz odgaduje w niej naturę pokrewną i czuje się porwanym jej prostotą. Nie obawia się ona miłości, bo afekt ten nie zagraża zagładą jej indywidualnej wolności, nie waha się zrobić poświęcenia z części swjej wolności osobistej, wiedząc, że otrzyma w zamian część duszy Leightona, i że małżeństwo, jak każdy stosunek bliższy, jest wzajemnym kompromisem. Teorye Gallii spływają po niej bez śladu, nie znajdując w niej echa. Wprawdzie nie deklamuje na temat indywidualności, czy samodzielności lecz fakt powyżej wskazany dowodzi, że jest samodzielną, wierną sobie i nie podlegającą wpływom ubocznym. U Gallii wstydlivość byłaby obłądą, absurdem i grzechem przeciwko jej ja, gdyż źródłem jej byłoby niewolnicze nagięcie się do form konwencyonalnych, bo jest wypływem i częścią jej kobiecości, czemś przyrodzonym, a nie wyuczonym na pamięć. Gdyby też istota taka zajęła się socyalną etyką, lub jakąbądź pracą, byłaby nie „nową“, lecz poprostu pracującą kobietą, którą uszanuje każdy, zwłaszcza przeciwstawiając ją pannie prowadzonej na targi matrymonialne i z założeniami rękoma wyczekującej wyswobodziciela z pod rodzicielskiego pantofla.

Z literackiego punktu widzenia „Gallia“ nie budzi tak żywego interesu. Trudno bowiem dopatrzeć się w niej artyzmu, lub wybitnego talentu powieściopisarskiego. Kontury charakterów jednakże zarysowane są z tą przedziwną precyzją i pewnością ręki, właściwą angielskim pisarzom. Sylwetki te przeto uderzają czytelnika odrazu jako prawdziwe i wierne kopie rzeczywistości. Jak powiedzieliśmy wyżej, autorka kopiuje z natury i fakt ten sam przez się jest ze wszech miar dodatnim punktem jej metody; jemu to zawdzięcza powieść swą niewątpliwą wartość dokumentu życiowego. Lecz artysta winien tak przejąć się tem co widzi, aby materyał, wyszedłszy z głębin jego temperamentu i artystycznej indywidualności, czynił wrażenie skończonego i harmonijnego płodu wyobraźni. Tymczasem tu sztydły wychodzą z miecha i „Gallia“ wygląda na pracę tworzoną ustępami w długim przeciągu czasu, ustępami, które, jako nie pisane przy jednolitym nastroju duchowym, nie harmonizują z sobą wewnątrz.

Wyraźny brak intuicji i subtelności stoi na przeszkodzie wypełnieniu konturów, a usiłowania, aby dorównać innym pisarzom błyskotliwością dyalektyki, zamiast dowieść finezyi

i subtelności, najczęściej odsłaniają ubóstwo myśli. M. M. Dowie nie opanowuje też należycie materiału, dlatego wiele ustępów należałoby wykreślić jako zbytecznych. Próżno szukalibyśmy jakiegokolwiek obrazu; autorka bowiem nie odczuwa natury tak, aby zdołała wydobyć rysy charakterystyczne. Często tuje nas natomiast opisami toalet, lecz i te niestety zajęłyby czytelnickę o tyle tylko, co magazyn mód. Niepodobna bowiem wynieść wrażenia, o ile zmiana toalety wpłynęła na wygląd Gallii, lub jak w niej przedstawiała się otoczeniu. Zresztą już w „Dziewczynie w Karpatach“ M. M. Dowie nie odsłoniła przed nami ani skrawki Karpat, poprzestając jedynie na komunikowaniu szczegółowem, jak „dziewczyna“ przedstawiała się samej sobie i listonoszowi na tle odległych gór, osłoniętych pomrokiem romantyczno-awanturniczym.

Niwa powieściopisarska przeto zdaje się nie właściwą dla autorki „Gallii“, której pióro zdradza jedynie wyraźny talent publicystyczny. Gdyby wejrzała głębiej w dzieła Spencera i Milla, a nie przebiegała ich na wzór Gallii, „jak jaskółka, niezawodnie dorzuciłaby ciekawy essay do kwestyi kobiecej. Natura obdarzyła bowiem autorkę jedną nieocenioną wartości właściwością — zaakcentowaną dobitnie indywidualnością, która bezwzględnie na to, w jakiej gałęzi działalności się uwydatnia i bezwzględnie, jakiej jest natury, przebija mury obojętności ogółu. Można „Gallia“ potępiać, lecz — dzięki temu — trzeba o niej pisać.

Londyn, 4. października 1895.

M. Wierzbński.



KRONIKA NAUKOWA.

43. Zjazd filologów i pedagogów niemieckich odbył się w dniach od 25—29. września b. r. w Kolonii, przy współudziale przeszło 1000 uczestników. Odczyty treści ogólniejszej odbywały się na posiedzeniach zbiorowych, dla referatów ściśle fachowych utworzono 8 sekcji: archeologiczną, historyczną, germanistyczną, indo-germańską, matematyczno-przyrodniczą, pedagogiczną, sekcją dla filologii starożytnych i sekcją dla filologii nowszych języków. Prezesem zjazdu był Dr. Oskar J ä g e r, dyrektor gimnazjum w Kolonii, który w przemówieniu wstępnem bronił systemu nauki gimnazjalnej, opartego na przewadze kierunku humanistycznego, przeciwko dążeniom skierowanym ku usunięciu częściowemu lub całkowitemu nauki języków klasycznych ze szkół średnich. Przemówienie to wywołało opozycją po stronie przedstawicieli przedmiotów przyrodniczych, którzy wnieśli rezolucję przyznającą naukom realistycznym równe znaczenie w kształceniu młodzieży, jak naukom klasycznym. Cofnięto jednak tę rezolucję, gdy ten, przeciwko któremu była skierowana, oświadczył, że nie miał zupełnie zamiaru obniżyć znaczenie, jakie mają przedmioty przyrodnicze dla wychowania szkolnego.

Na pierwszym zgromadzeniu zbiorowym miał Dr. Theobald Ziegler, profesor filozofii w Strassburgu, odczyt pod tytułem: „Filozofia jako przedmiot nauki szkolnej“. Po wstępie historycznym, poświęconym stanowisku, jakie zajmowała nauka filozofii w akademii Karola w Stuttgardzie (której uczniem był Schiller), starał się Ziegler uzasadnić tezę, że ani metafizyka, ani etyka, ani nawet logika i psychologia nie powinny być w szkołach wykładane. Natomiast cały sposób nauczania powinien być trzymany w duchu filozoficznym; każdy przedmiot powinien być wykładany z punktu widzenia filozoficznego; a w tym celu kandydaci stanu nauczycielskiego mają odbierać gruntowne wykształcenie filozoficzne.

Na drugim zgromadzeniu zbiorowym zdawał sprawę profesor **Hettner** z Trewiru o dotychczasowych wynikach podjętych z polecenia rządu niemieckiego badań nad fortyfikacjami pogranicznymi Rzymian w Niemczech, a profesor **Diels** z Berlina o postępach, jakie dotąd uczyniło przedsięwzięte przez akademie nauk w Berlinie, Wiedniu, Getyndze, Lipsku i Monachium wydawnictwo „*The-saurus linguae latinae*“. Wydawnictwo obliczone na 12 tomów, zacznie się drukować w r. 1900. Koszta preliminowano na 600.000 marek. Na tem samym zgromadzeniu mówił Dr. **Heiberg** z Kopenhagen „O tradycjach matematyki greckiej“. Etapami na drodze, na której się te tradycje przechowały, są: **Alexandrya** i **Pergamon**, **Konstantynopol**, klasztory na górze **Athos**; stamtąd zdobycze matematyków greckich dostały się za pośrednictwem Arabów i Normanów na zachód, do **Sycylii** i **Anglii**, a wpływ matematyki greckiej widocznym jest jeszcze w **XVI**. wieku we **Francji**.

Na trzecim zgromadzeniu zbiorowym mówił Dr. **Wenker** z **Marburgu** o zamierzonym przezeń wydawnictwie „map językowych Niemiec“. Mają one uwidocznic rozdzielność poszczególnych plemion i narzeczy niemieckich na podstawie dat, zebranych za pomocą kwestyonaryuszów, których rozesłano już przeszło 50.000. — Prof. **Stahl** z **Monachium** miał wykład o „związku najdawniejszego dziejopisarstwa greckiego z poezją epiczną“, w którym starał się wykazać, że logografia grecka wyłoniła się z poezji **Hezydoda**. Prof. **Walters** z **Aten** mówił o posągu **Apolina**, odnalezionym w 1853 r. w **Pompei** i dowodził, że posąg ten jest kopią o wiele dawniejszego posągu, umieszczonego ongi w **Sparcie**. Prof. **Reisch** z **Innsbruku** miał wykład o rozwoju teatru greckiego i o jego stosunku do sceny rzymskiej.

Na czwartym zebraniu ogólnem kierownicy poszczególnych sekcji zdawali sprawę z prac w tychże odbytych. Prace te tyczyły się najrozmaitszych przedmiotów, a referaty były nader liczne. Trudno nawet wyliczyć choćby tytuły wszystkich; okażą się one niebawem w druku p. t. „*Verhandlungen der 43. Versammlung deutscher Philologen und Schulmänner*“ nakładem **Teubnera** w **Lipsku** (cena około 25 marek).

Nafta u starożytnych ludów nie była rzeczą nieznaną. Mieszkańcy **Niniwy** i **Babilonu** posługiwali się masą asfaltową, sprowadzaną z okolic leżących nad rzeką **Jo**, przypiływem **Eufratu**. Środkowe części powierzchni morza martwego od niepamiętnych czasów pokryte są naftą. Wieczne ognie ołtarzów pogańskich pod **Baku**, czczone przez starożytnych **Persów**, nie są niczem innym, jak źródłami nafty. **Egiptycanie** używali nafty do balsamowania ciał umarłych. **Herodot** opisuje źródła naftowe na wyspie **Zante**. **Plu-**

tarch opowiada o płonącym jeziorze nafty, znajdującym się pod Ekbataną. Pliniusz wspomina o źródłach naftowych z pod Agri-gentu na Sycylii. Pod nazwą „oleju sycylskiego“ nafta z owych źródeł służyła do oświetlenia. Równie już w starożytności znane były źródła nafty nad rzeką Irrawaddy w Birmie.

Wpływ napojów wysokowych na głos ludzki był przedmiotem badań, przedsięwziętych przez profesora Landres w Paryżu. Pokazało się, że spożywanie wódek i likierów ścieśnia objętość głosu, przyczem zanikają przedewszystkiem tony niskie. Wynika z tego, że źle czynią śpiewacy, którzy przed występami posilają się koniakiem, by dodać sobie „otuchy“.

